



Bożena Walewska

# Pieść

# Rozdział I

## Boska obietnica

Ocean był wyjątkowo spokojny, jakby ostatni sztorm wysał z niego wszystkie siły. Szemrał przedwieczorną modlitwę, kołyszając się leniwie. Nawet mewy przycichły. Ciemniejącą taflą wody przecinały krwiste łuny zachodzącego słońca.

Samotny człowiek stał na krawędzi klifu zapatrzonej w to boskie malowidło – niezmiennie od wieków, a zarazem inne każdego dnia. Zawstydzony wzruszeniem, jakie ten obraz w nim budził, zerknął spod oka w jedną, potem w drugą stronę, jakby chciał się upewnić, że nikt nie widział tej chwili słabości. Bezwiednym gestem odgarnął z twarzy długie włosy, próbując wygrać z wiatrem. Nie na wiele się to zdało, złośliwiec natychmiast nawiewał je z powrotem.

*Ot, jaką zabawę sobie znalazł.* – Samotnik uśmiechnął się mimo woli.

Czasy młodości miał za sobą, na skroniach połyskiwały pojedyncze srebrne nitki, a szczupłą twarz znaczyło znużenie i smutek. Mimo to wystarczyło spojrzeć, by rozpoznać wojownika, któremu pod ciężarem miecza nie zdrzą ręce, nie ugną się kolana. Świadczyły o tym zarówno

dumna postawa i spokój, jak też kocia czujność widoczna w każdym ruchu, w każdym spojrzeniu. Prawy policzek przecinała gruba, widoczna blizna. Na silnych rękach widniały tatuaże żmij sięgające od ramion aż po nadgarstki, na grzbietach obu dłoni miniaturowe sylwetki szarych sów – znaki przynależności, a może kaprys młodości.

Od dłuższego czasu tkwił w bezruchu jak posąg, zapatrzony w dal, nieobecny.

– Nair!?! – Okrzyk rozbrzmiał nadspodziewanie blisko.

Wyrwany z zadumy wojownik gwałtownie odwrócił głowę, odruchowo sięgając po rękojeść miecza. Przez moment obserwował zbliżającą się dziewczynę, po czym stanowczym gestem nakazał jej zatrzymanie się tam, gdzie była. Ona jednak zlekceważyła ostrzeżenie i z uśmiechem na twarzy ruszyła jeszcze szybciej. Wpatrywał się w drobną postać kompletnie zaskoczony. Wreszcie skoczył w jej kierunku, krzycząc radośnie jak dziecko:

– Caril! Siostrzyczko! – Dobiegł, chwycił dziewczę wpół i zakręcił kilka piruetów. W końcu postawił ją na ziemi, jednak nie wypuszczał z uścisku z obawy, że mogłaby zniknąć. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę... Nie masz pojęcia... – powtarzał ze wzruszeniem.

– Saendranie Nairze Karun! Twoje zachowanie niezmiernie mnie martwi. Takie rzeczy wyprawiać? Siostrę poniewierać jak jakąś wędrowną tancereczkę? – fuknęła z groźną miną, ale w jej oczach łzy mieszały się z radością.

– Skąd wiedziałas, że tu mnie znajdziesz? – spytał.

– Jak tylko przewodnik przyprowadził mnie do waszego obozu, szukałam cię, a dobrzy ludzie wskazali to

miejsce – odpowiedziała poważnie. – Podobno często spędzasz czas samotnie?

– To nie tak, Caril. Lubię być tu sam, bo muszę wszystko zaplanować, zastanowić się, co dalej, dokąd się udać. A przy szumie fal najlepiej się myśli – wyjaśnił. – Od dłuższego czasu planowałem, żeby cię sprowadzić. Tęskniłem... i jesteś – szepnął wzruszony.

W jej oczach błysnęły łzy. Nie bardzo wiedział, jak temu zaradzić. Odsunął dziewczynę delikatnie, obrzucił taksującym spojrzeniem i zagwizdał przeciągle. Szybko się jednak zreflektował i spojrzał jej prosto w oczy z przepaszającym uśmiechem.

– Wybacz, to miało cię rozweselić, a wyszło głupio. Tak długo cię nie widziałem, Caril Karun, tak długo... a ty z poczwarki przeobraziłaś się w kobietę, na dodatek prawdziwą piękność. Nie od razu cię poznałem, dopiero jak podeszłaś bardzo blisko, bez lęku... Ach, Caril, tak bardzo przypominasz matkę. Mężczyźni oszaleją na twoim punkcie. Wybacz żołnierskie zachowanie, lata tułaczki zrobiły swoje. Dobrze, że znów jesteśmy razem, ale będę cię musiał przypilnować, moja droga. Mężczyźni oszaleją na twoim punkcie, to pewne. – Pogroził jej palcem z braterską surowością, jednak jego twarz wyrażała coś zupełnie przeciwnego: wielkie szczęście i poczucie dumy.

Miał powody, gdyż licząca szesnaście wiosen Caril niezaprzeczalnie była śliczną dziewczyną. Drobną twarz otaczała burza potarganych włosów. Wielkie, lekko skośne oczy migotały jakimś chochlikowym światłem. Nawet zwyczajna szara sukienka nie ujmowała jej czar, wręcz

podkreślała kobiece już kształty. Caril wprost tryskała młodością i energią – nie mogąc ustać spokojnie, dreptała w miejscu, podrygiwała i nie przestawała gadać, a właściwie zasypywać Naira pytaniami, na które i tak nie nadążał odpowiadać.

Patrzył na nią z wielką radością, ale też troską. Obiecał sobie, że zrobi wszystko, by ukochanej siostry nie spotkało nic złego. Obaj z bratem wchodzili już w wiek męski, kiedy pojawiła się na świecie. Matka omal nie przypląciła życiem jej narodzin, podobnie jak sama Caril, jednak obie walczyły i wygrały tę walkę. Radosna i wojownicza dziewczynka była oczkiem w głowie całej rodziny. Jej ciekawość świata i nieco krnąbrny charakter przysparzały wszystkim trosk, jednak zarówno Nair, jak i Oland pocztywali sobie za honor i obowiązek strzeżenie siostry.

– O co chodzi? – spytał, widząc, że Caril pociera dłonie i przestępuje z nogi na nogę, jakby coś ją nurtowało.

Spojrzała mu w oczy z wielką powagą i zapytała:

– Kapłani dużo nam opowiadali, ale nigdy nie mogłam zrozumieć, jak do tego wszystkiego doszło. Dlaczego, Nairze?

Nie od razu odpowiedział. Nie chciał psuć atmosfery tego spotkania smutną opowieścią. Tę rozmowę wyobrażał sobie przez te długie lata tułaczki i niepewności, ale chciał to zrobić później, kiedyś. Jednak gdy usłyszał jej pytanie, doszedł do wniosku, że nie ma dobrych chwil na trudne rozmowy i nie należy ich odkładać.

– To było ponad trzysta lat temu – zaczął. – Morovia, Sylia, Esenia i Aleria, a także wszystkie pomniejsze prowincje, żyły w spokoju i zgodzie. Kwitł handel, ludziom

powodziło się całkiem nieźle. Tymczasem w Esenii nastał nowy władca, pierwszy z rodu Edmurów, zwany Piratem od profesji, jaką się parał. Wraz ze swoimi kamratami, złoczyńcami jak on, siłą przejął tron i zaczął tworzyć armię. Obawiając się morovskich naznaczonych, ściągnął do zamku wszystkich obdarzonych choćby krztyną magii. Utworzył dla nich zakon. Porzucił wiarę w starych bogów i wprowadził nową religię. Zbudował Kościół Boga Stworzenia. Znalazł naśladowców, a wkrótce narzucił nowego boga wszystkim swoim rodakom, także tym opornym.

– Nie buntowali się? Nie walczyli? – pytała zaciekawiona.

– Owszem, ale każdy buntownik kończył na stosie albo szubienicy. Strach powodował, że większość Esenów religię przyjęła. Ale na tym Pirat nie poprzestał. Zaczął najeżdżać przygraniczne prowincje. Grabił i mordował, a wszystko pod płaszczykiem szerzenia jedynej prawdziwej wiary.

– A co na to władcy sąsiednich krajów, choćby Morovii?

– No właśnie – odparł. – Początkowo biernie obserwowali, później zaczęli się go obawiać. Każdy myślał tylko o tym, jak obronić własne włości. W ten sposób Edmur I Pirat wkraczał coraz głębiej i zagarniał coraz więcej terytoriów. Na pierwszy ogień poszła Morovia. Nie miała armii, jedynie naznaczonych. Oni stanowili wielką siłę, dlatego Edmur wziął ich na cel jako pierwszych. To z obawy przed nimi otoczył się magami. Bronili się, ale zabrakło wodza, który by ich zebrał i poprowadził. Ówczesny król Morovii był na to zbyt słaby i tchórzliwy. Zakonne psy Pirata tropiły

przeciwników z taką zaciętością, że w parę lat wytrzebiły większość naszych przodków obdarzonych darem. Zajęcie Alierii było już tylko formalnością. Rozproszone na pustynnych terenach klany nawet nie wiedziały, że ich stolica, Hara, padła. Tak powstały zręby Imperium Eseńskiego.

– A Sylia? Dlaczego w Sylii prawie ich nie ma? Wiem, bo rozmawialiśmy o tym z kapłanami.

– To był maleńki kraj, otoczony potężnymi górami, zalesiony, niemal dziki. Jedynie Mare z zamkiem na skale stanowiło jakąś wartość dla Edmura, ale nie wydawało się zagrożeniem. Zostawił Sylię na koniec, ale zanim się do niej zabrał, umarł w dziwnych okolicznościach. Mówi się, że został otruty przez młodszego brata. Gdy ten przejął władzę, skupił się na handlu i gromadzeniu majątku, a Sylia nie miała wiele do zaoferowania. Przez kolejne dwa stulecia bywało różnie. Lata spokoju przeplatały się z okresami nagonek i mordów. Dotykało to głównie naznaczonych i ich rodzin. Tylko oni stanowili realne zagrożenie dla kolejnych władców imperium. Z pozostałymi krainami poradzili sobie w ten sposób, że przynajmniej jedno z dzieci z królewskich rodów trafiało na dwór w Esenie. Jedynie z Morovii nie zabierali królewskich synów. Bali się trzymać naznaczonych zbyt blisko siebie. Eseńscy zakonnicy nie potrafili blokować naszego daru. Tak to było, Caril. Ale dość już o tym. Musimy wracać, robi się późno.

Idąc w stronę obozu, rozmyślał o dniu, w którym wymordowano jego rodzinę. Caril też dziwnie ucichła. Nair przypominał sobie polowania z ojcem, czuła, zwykle uśmiechniętą matkę, młodszego brata i kompanów od miecza.

Rodzina żyła spokojnie i szczęśliwie. Królowa imperium, Sylwia I Edmur, zajęta budowaniem floty i przygotowaniem do wielkiej wyprawy w poszukiwaniu nowych ziem, dała podbitym prowincjom kilka spokojnych lat. Ten spokój zburzył bunt szacha w Alierii, po którym represje powróciły, a królewską rodzinę Karunów dotknęło nieszczęście. Caril miała zaledwie sześć lat, gdy oboje z Nairem stracili najbliższych. Ojca, króla Morovii, zabili eseńscy zakonnicy.

Przez pokolenia kościół eseński zdobywał coraz więcej uprawnień. Wykształceni, obdarzeni magią, silni mnisi sprawowali faktyczną władzę w podbitych krajach. Tego dnia zaatakowali z zaskoczenia, bez litości mordując wszystkich obecnych w sali tronowej. Nikt nie zdołał uciec. Później przetrząsnęli cały zamek. Zabijali dorosłych i dzieci, dworzan i służbę. Zgromadzili taką liczbę zakonnych magów, że nie sposób było się obronić. Sponiewieraną i odartą z czci królową powlekli na powrozie jako brankę. Na koniec spalili królewskie stajnie, żeby uniemożliwić pościg. Oszalałe z bólu konie zrywały pęta, wierzgały i tratowały się nawzajem. Nie mogąc pokonać masywnych wierzei, zginęły w ogniu. Wiele zabudowań spłonęło tamtego dnia w stolicy, a po starej, drewnianej dzielnicy mieszczącej domy i warsztaty rzemieślników pozostały zgliszcza.

Z całej rodziny obecnej wtedy w zamku ocalał jedynie Oland, brat Naira i Caril. Zdołał uciec tylko dlatego, że nie zdążył na audiencję. Nikt nie wiedział, gdzie się ukrywał, dopiero kilka miesięcy później dotarły pogłoski, że w Gelenie zaciągnął się na statek, co było najlepszym



rozwiązaniem dla człowieka wyjętego spod prawa. Tam przynajmniej niezbyt często spotykało się zakonników.

Tamtego dnia Nair zabrał siostrę na dłuższą konną przejażdżkę. Wracając, już z daleka zobaczył dym nad zamkowym wzgórzem. Ukrył dziewczynkę w pobliskim zagajniku i kategorycznie nakazał jej tam czekać, a sam wyrwał co koń wyskoczy. Zatrzymał go tłum uciekinierów. Przerażeni ludzie opowiadali zatrważające historie i błagali o to, by ratował życie. W pojedynkę Nair nic nie mógł zdziałać i choć serce pchało w sam środek tej pożogi, rozum podpowiadał co innego. Wiedział, że droga do domu została odcięta. Nie miał czasu na rozpamiętywanie ani rozpacz – wrócił po siostrę, posadził ją przed sobą na koniu i pogalopował do niezbyt odległej posiadłości eseńskiego kupca zaprzyjaźnionego z rodziną Karunów. Wbrew rozkazom, by każdego morovskiego wojownika schwytać i wydać w ręce imperialnej władzy, Esen ukrył wielu zbiegów. Po paru dniach kapłani z sąsiedniej Sylii wyprowadzili Caril z Morovii i wraz z innymi ocalałymi dziećmi wywieźli do zamkniętego klasztoru w górach. Uczynili to, gdyż od ponad stu lat Sylia faktycznie pozostawała pod pieczęcią Morovii. Kapłani rozumieli, jak ważny był ten sojusz, dlatego pomagali morovskim uchodźcom, kiedy zaszła taka potrzeba. Nair nie był w stanie zapewnić bezpieczeństwa siostrze, nie mógł zapewnić go nawet sobie. Tęsknił za Caril, ale rozumiał, że tylko sylscy mnisi mogą ją ochronić.

Potężne góry strzegły dostępu skuteczniej niż armie. Mijały lata, a Nair wciąż nie znalazł swojego miejsca

na świecie. Spał byle gdzie, jadł co popadło, byle jakoś przetrwać. Niejeden raz przyszło mu walczyć o życie. Kiedy po śmierci królowej eseńskiego imperium, Sylwii z rodu Edmurów, tron objął jej młody syn i represje wobec naznaczonych nasiliły się jeszcze bardziej, Nair postanowił skończyć tę bezsensowną tułaczkę, skupić ocalałych wokół siebie i stanąć wrogom naprzeciw. Ludzie ściągali z całej Morovii na wieść, że Karun zbiera chętnych do walki. Trafiali do niego przez przewodników, których siatka rozrastała się z każdym rokiem, a on małymi grupkami odsyłał ich do granic Sylii, nakazując unikania głównych traktów. W przygranicznych lasach czekali przewodnicy, głównie sylscy kapłani. Nair odczekał jeszcze kilka dni, po czym wyruszył z kilkunastoma ludźmi oraz przewodnikiem, który zapewniał, że doprowadzi ich bezpiecznie do królewskiego zamku w górach, opuszczonego od ponad stulecia.

– Nairze, czemu królewscy tak unikają sylskich lasów?

– zapytała Caril po długim jak na nią milczeniu.

– Tylko wprawne oczy i uszy przewodników potrafią odnaleźć w nich drogę, dlatego musimy im zawierzyć, gdyż dopiero tam możemy poczuć się w miarę bezpiecznie. Imperialni starają się unikać tych ostępów, tak samo jak górskich ścieżek.

– Przecież mają zakonnych magów – dociekała dziewczyna. – Mogliby to wykorzystać, czyż nie?

– Mam wrażenie, że te lasy opierają się magii. – Nair sam był zdumiony tym zjawiskiem. – Nie tak dawno jakiś zacierzewiony dowódca mianowany przez nowego

władcę imperium, Anvila Edmura III, wraz z niewielkim oddziałem zagłębił się w te lasy w pościgu za grupką Morovów, ale z tej wyprawy nie powrócili ani on, ani żaden z jego ludzi. Trzy setki żołnierzy wysłano pod ochroną kilkunastu zakonników, by odnaleźć zaginionych żywych lub martwych, ale nie pozostał po nich żaden ślad. Nie było oznak walki, zdeptanej trawy czy połamanych gałęzi.

Caril przez dłuższą chwilę milczała, z uwagą obserwując brata. Pamiętała go odrobinę, a pamięć wzmacniali mnisi, którzy opowiadali jej o rodzicach i braciach. Jeden z nich narysował specjalnie dla niej portrety Naira i Olanda. Słyszała, że Ole zaginął. Na szczęście miała jeszcze Naira. Zmienił się na wygnaniu, minęło w końcu wiele lat. W jego szczupłej twarzy nie było widać nawet śladu lęku, raczej niezłomność, a nawet zaciętość i zuchwałość.

– Dlaczego ciągle jesteś sam? – zapytała. – Przystojny z ciebie mężczyzna, Nairze. Niejednej pannie mógłbyś zawrócić w głowie. Kto wie – na samą myśl chochliki w jej oczach rozbłysły – może nawet by o ciebie walczyły? – Klasnęła w dłoń, ale już po chwili na jej twarzy pojawiła się troska. – To był taki głupi żarcik, nie gniewaj się, proszę, ale ja nie jestem już dzieckiem. Wiem, że każdy człowiek potrzebuje bratniej duszy u boku. Ty także.

– Nie szukałem, Caril. Czasy nie sprzyjały zakładaniu rodziny, przecież wiesz – odparł z ledwo dostrzegalnym smutkiem. – A teraz jestem już na to za stary.

– Mówisz głupstwa. Nie jesteś stary, a poza tym masz obowiązek przedłużyć nasz ród – odpowiedziała z powagą wręcz nieprzystającą do jej wieku. Na chwilę umilkła,

jednak to nie trwało długo, bo już po chwili znów zaczęła mówić, jakby chciała w jednej chwili nadrobić te wszystkie lata. – Byłam przerażona, gdy mnie oddałeś mnichom. Ciągle płakałam, nie chciałam jeść i spać, jednak z czasem przywykłam. Kiedy trochę podrosłam, kapłani wyjaśnili mi, dlaczego musiałeś mnie zostawić. Uświadomili, kim jesteś, jak ważne są twoje życie i misja, którą postawiło przed tobą przeznaczenie. Wiem o tobie bardzo wiele, Nairze, dlatego zrobię co tylko w mojej mocy, żeby ci pomóc zadbać o sukcesję. Jeśli będzie trzeba, sama znajdę odpowiednią kandydatkę. Nasz ród przewodził Morovii od wielu pokoleń. Nie bez powodu otrzymałeś w darze od bogów tak ogromną siłę. Kapłani mówili, że tylko ty możesz poprowadzić lud w drodze do wolności, że za tobą pójdą wszyscy, także Syłowie.

– Już dobrze, moja ty mądralo. Będę cię słuchał jak wyroczni, obiecuję. – Podniósł dłoń w geście przyrzeczenia, uśmiechając się przy tym szeroko. Próbował obrócić wszystko w żart, jednak w jego oczach ciągle czał się smutek. – Chodźmy już, siostrzyczko. Musisz się posilić, straszna chudzina z ciebie. – Przygarnął ją ramieniem i mocno przytulił. Zaskoczyły go mądrość i rozwaga Caril.

– Czy ciotka Mirie żyje? – zapytała, świadomie zmieniając temat.

– O tak. Ona jest wieczna, niezniszczalna jak Morovia. Spotkamy się z nią wkrótce, może jeszcze dziś – zapewnił z uśmiechem.

Ruszyli żwawo w kierunku obozu nad Zatoką Krabów. Tam było miejsce zbiórki, do którego dotarła już

większość naznaczonych. Tam też kapłani przyprowadzili morovskie dzieci ukrywane przez lata w klasztorze. Caril wróciła razem z czterema dziewczętami i jedenastoma naznaczonymi. Tylko jeden chłopiec był w jej wieku, trzy lata więcej liczyła sobie przyjaciółka o imieniu Sulla, pozostali to jeszcze dzieci.

Przez całą drogę Nair trzymał ją mocno za rękę, zyskując na ten krótki moment spokój i szczęście, jakiego dawno nie doświadczył. Jednak ponure myśli wróciły szybciej, niż się spodziewał.

W ostatnich latach rzadko opuszczał kryjówki z obawy przed ludźmi króla Esenii. Nie tylko dlatego, że pochodził z rodu władców Morovii. Istniała inna przyczyna. Nair należał do tych, którzy byli jedyną nadzieją na odzyskanie wolności – naznaczeni, zdolni pokonać zakonnych magów. Nie było ich wielu, dlatego Morovowie przez lata doszli do wielkiej wprawy w ukrywaniu całych rodzin. Powstały zorganizowane siatki, trasy przerzutowe i porządnie chronione kryjówki. Esenowie polowali na naznaczonych od ponad trzystu lat i wymordowali ich setki, może nawet tysiące. Mimo to w kolejnych pokoleniach rodzili się następni. Nie uczono ich posługiwania się darem, ta umiejętność przychodziła sama, niepostrzeżenie, gdy chłopiec był na nią gotów. U jednych we wczesnym dzieciństwie, u innych znacznie później.

Nair na zawsze zapamiętał swoje pierwsze spotkanie z królewskimi. Był wówczas małym dzieckiem. Wybrał się do lasu, żeby podglądać rodzinę guźców, które od niedawna zamieszkały w pobliżu murów zamkowych. Już

z daleka zauważył ośmiu strażników i trzech zakonnych, nieśpiesznie pokonujących sawannę. Mocne konie szły stępa, niespokojnie wietrząc i strzygąc uszami, gdyż okolica roiła się od dzikich zwierząt. Podobnie zachowywali się zakonni bracia – obserwowali okolicę i węszyli niczym drapieżniki. Nie wypatrywali jednak zwierząt, tylko ludzi obdarzonych magią, którzy dla nich byli jednymi z dziką zwierzyną. Przerażony Nair wcisnął się do nory guźca i niemal całkowicie wstrzymał oddech. Bał się nawet o to, że z daleka mogą usłyszeć bicie serca, które waliło w jego piersi. Patrol przejechał kilka kroków obok jego kryjówki. Chłopak odczekał i już zamierzał wyjść, kiedy nagle poczuł drgania ziemi coraz bliżej nory, w której się schronił. Nie wiadomo skąd wiedział, że go wyczuli. Zbliżali się krok za krokiem, a on to słyszał tak wyraźnie i głośno, jakby ktoś walił chochlą w garnek tuż przy jego uchu. Chłopiec zaczął odczuwać przenikliwy ból głowy, drżał ze strachu jak osika. Niejeden raz widział podziurawione zwłoki mężczyzn, zielonoszare z upływu krwi. To były ciała naznaczonych, a on też miał się nim stać w przyszłości.

Dowiedział się o tym od ojca w dniu naznaczenia. Starszyzna zbierała się raz w roku, by stwierdzić obecność daru. Rodziny z całego kraju przywoziły synów do stolicy Morovii. Niegdyś to było wielkie święto, ale od dwustu lat robiono to po kryjomu, za każdym razem w innym miejscu. Chłopców, u których pojawił się dar, uroczyście naznaczano znakiem rodowym. Karunom od wieków patronowała żmija. Dodawano też drugi znak, zgodny z ce-

chami charakteru. To był przywilej matki, która zazwyczaj najlepiej znała swoje dzieci. Nairovi podarowała małą złotą figurkę sowy. Znaki tatuowano na obu rękach i nie zrezygnowano z tego obyczaju nigdy, nawet w czasach niewoli, mimo że wystawiały na niebezpieczeństwo mężczyzn ściganych imperialnym prawem. Magia naznaczonych była zabójcza, a co gorsza, wymazywała wszelki ślad po tych, wobec których jej użyto. Przez wieki była największym koszmarem władców imperium. Zginąć w walce to jedno, ale zniknąć na wieki – to przekraczało wszelkie pojmowanie. Dlatego naznaczonych ścigano i zabijano bez sądów i wyroków.

Starszyzna Morovii twierdziła, że symbole na rękach otwierały drogę magii, wypuszczając ją na wolność. Wkrótce po inicjacji u większości chłopców następowała zmiana zachowania – stawali się butni, nabierali pewności siebie graniczącej z brawurą. Mogło to wynikać z samego wejścia w dorosłość, ale seniorzy rodów uważali, że tak objawiało się uwolnienie zgromadzonej siły. Tę wiedzę przekazywano z pokolenia na pokolenie i nikt nigdy jej nie podważał. W momencie naznaczenia przydzielano dzieciom opiekunów, których zadaniem było okiełznanie głupiej brawury, nauczenie zasad, a także szkolenie w posługiwaniu się zwykłą bronią. Nikt nie uczył, jak używać magii, to działo się samo, instynktownie.

W dniu, gdy po raz pierwszy poczuł prawdziwe zagrożenie, Nair jeszcze nie wiedział, w jaki sposób przywołać swoją siłę. Siedział w norze, zaciskając pięści mokre od potu i dygocząc ze strachu. Tupot końskich kopyt był już niebezpiecznie blisko kryjówki, więc chłopiec zamknął

oczy i oczekiwał na śmierć. W głębi duszy marzył, aby ci ludzie po prostu zniknęli.

Nagle poczuł w głowie wir przyśpieszający z każdą chwilą. Widział coś takiego na alierskiej pustyni podczas burzy. Tyle że ta burza szalała w jego czaszce, powodując mdłości i rozsadzający ból. Usłyszał świst, wycie, jakieś odległe echo grzmotu. Przyciskał do skroni zaciśnięte pięści, czując, że dłużej tego nie wytrzyma, zwariuje albo umrze. W tym momencie poczuł, że jego głowa rozpada się na kawałeczki. Później stracił świadomość. Nie pamiętał, jak wydostał się z kryjówki ani jak wrócił do zamku. Po wielu godzinach snu wreszcie się ocknął.

Dopiero ojciec wyjaśnił mu, co się zdarzyło. Magia Naira zadziałała, choć on sam nie miał o tym pojęcia. Jego marzenie, by zakonnicy zniknęli, zostało spełnione. Przestali istnieć. Ojciec nie powiedział mu tylko jednego: że taki wyczyn sprowadzi zemstę.

Tydzień później, gdy patrol nie wrócił, a poszukiwania nie przyniosły rezultatu, królewscy dokonali rzezi zwykłych mieszkańców okolicznych wiosek. Dla przykładu. Pozostawili przy życiu tylko młode kobiety i popędzili je do miasta w pętach, jak niewolnice. O tej masakrze chłopiec dowiedział się dopiero wiele tygodni później.

– Nairze, jesteś taki strapiony – odezwała się Caril. – Czy coś się stało?

– Nic takiego, siostrzyczko, to tylko złe wspomnienia – odparł i wbrew swoim myślom uśmiechnął się. Caril była najprawdziwszym powodem do radości: młoda, śliczna i żywiołowa jak ich matka.



Wreszcie dotarli do obozu, co Nair przyjął z ulgą, ponieważ pytania siostry przywoływały najgorsze wspomnienia. Od kilku dni zbierali się tam naznaczeni, ich rodziny oraz sylscy przewodnicy. Dołączyła też Mirie, ciotka Mirie, jak nazywali ją wszyscy. Nieoceniona uzdrowicielka i bajarka, która wspaniale gotowała i znała się na sporządzaniu przeróżnych leczniczych mikstur. Prawdziwa skarbnica wiedzy. Ta drobna, skromna kobieta miała w sobie tyle optymizmu i sił, że mogłaby tym obdarować wielu malkontentów. Uratowała niejedno pokolenie naznaczonych, gdyż posługując się jakimś sobie tylko znanym zmysłem, zawsze wyczuwała niebezpieczeństwo i wyprowadzała ich z opresji, ratując od niechybnej śmierci. Gdy zobaczyła Naira w towarzystwie młodej, roześmianej dziewczyny, poderwała się od ogniska. Uściskała najpierw jego, mocno i serdecznie, jak brata. Później podparła się pod boki, obrzuciła Caril krytycznym spojrzeniem, po czym roześmiała się i przyciągnęła ją do siebie.

– Nie mogę uwierzyć w to, co widzę – mówiła radośnie. – To ma być pulpecik, którego pamiętam? Caril, ależ z ciebie piękność, no, no.

– Za to ty, ciociu, nic się nie zmieniłaś. – Caril była lekko onieśmielona, a zarazem szczęśliwa. Pamiętała Mirie, jej rozwichrzone loki, jak zawsze upięte w nieładzie, bystre oczy nieokreślonego koloru, ni to szare, ni zielone, i ciepły, serdeczny uśmiech. Tylko czasem po twarzy kobiety przemykał jakiś smutek, ból, którego przyczyny nigdy nikomu nie wyjawiała.

– Mirie, znajdzie się coś do jedzenia? – zapytał Nair. – To chuchro trzeba podkarmić, a i mnie burczy w brzuchu.

– Chodźcie, chodźcie, siadajcie, zaraz was nakarmimy.  
– Wskazała im kamienie przy palenisku. – Takie skromne siedziska, ale wygodne, oszlifowane.

Nair podchodził do wszystkich, których wcześniej nie widział, witał ich mocnym uściskiem dłoni, do każdego zagadał kilka słów. Starszych naznaczonych znał osobiście, młodszych pytał o rodziny, z których pochodzą. Niektórych od razu rozpoznawał po rodowych znakach wytatuowanych na rękach.

– Cieszy mnie bardzo, że przybyło was tak wielu, mam nadzieję, że kolejni jeszcze dotrą. Mirie zapewne znacie, a to dziewczę – przyciągnął Caril do siebie i otoczył ramieniem – jest moją siostrą. Przedstawiam wam Caril Karun. A teraz siadajcie, zjedzmy coś, wypijmy – zapraszał do ogniska.

Mirie komenderowała wszystkimi, kręciła się jak fryga i zapędzała do pracy dziewczyny i chłopaków, sprawiedliwie.

Po posiłku wszyscy z lubością rozkoszowali się gorącym napojem sporządzonym z palonych ziaren kawy mielonych na drobny proszek w żarnach wymyślonych przez Mirie. Wcześniej służyły jej do rozdrabniania ziół. Zielarka lubiła wszystko sprawdzić, zbadać, wypróbować, a kiedy odkryła, że przypalone ziarna kawy wydzielają wspaniały zapach, postanowiła je zemleć i zaparzyć jak zioła. Okazało się, że napój o lekko gorzkim smaku przywracał energię i rześkość. W połączeniu z cukrem tracił gorycz i stawał się prawdziwym rarytasem.

Kolacja dobiegła końca, a Mirie znalazła wreszcie czas, by z glinianym pucharkiem parującego napoju zasiąść przy

ognisku pośród przyjaciół. Caril mrugnęła do Naira, ciesząc się tą chwilą. Zanosiło się na opowieść, a opowieści ciotki zawsze przyprawiły o dreszcze albo wywoływały salwy śmiechu.

– Na samym początku – zaczęła Mirie – było pięciu bogów, jak pięć palców jednej dłoni. Każdy z nich zbudował jakąś część świata. Ar stworzył góry i niziny, pustynie, sawanny i lasy. Bral poprzecinał ziemię rzekami i morzami. Podzielił ją na kontynenty, wyspy i wysepki, a że miał artystyczną duszę, tu i ówdzie dodał jeziora, strumyki, wodospady i katarakty dla ozdoby. Cron zagościł pod ziemią, a kiedy wrócił na powierzchnię, pozostawił po sobie bezcenne skarby – metale, kamienie, kryształy, węgiel, ale też gorące źródła i rozżarzone masy lawy. Hon stworzył zwierzęta, ptaki i wszystkie żyjątka morskie i lądowe. Uman nie miał z początku żadnego pomysłu, ponieważ już wszystko zostało zrobione. W końcu zauważył, że brakowało kogoś, kto mógłby podziwiać takie dobro i rozkoszować się nim. Wymyślił więc stworzenie rozumne i bystre, zdolne wykorzystać boskie dzieła dla własnych celów, nazywając je człowiekiem. – Bajarka zrobiła króciutką przerwę na kilka łyków kawy. Widząc zasłuchane twarze i wlepione w siebie oczy, bez zwłoki podjęła opowieść. – W boskim umyśle powstały dwie istoty, kobieta i mężczyzna, wyposażone w zmysły wzroku, słuchu, smaku, powonienia i dotyku. Uman długo spoglądał na nie krytycznym okiem, poprawiał i udoskonalał, aż obraz stał się idealny. Na koniec w ich głowy skierował groty piorunów. Jednym uderzeniem rozniecił życie, a wraz z nim tęsk-

noty i żądze. Zanim wysłał podopiecznych w świat, dał im potężne dary: rozum, wolną wolę i magię. Jedyнным ograniczeniem były boskie prawa – szacunek dla samych siebie, otaczającego świata i wszystkich istot żywych.

– Och, Mirie! – Caril była bardzo poruszona. Nigdy w taki sposób nie patrzyła na siebie ani na innych ludzi. Zielarka dotknęła jej dłoni splecionych w uścisku, delikatnie je pogłaskała, ale nie przerwała opowieści.

– Pięciu obserwowało z zainteresowaniem, jak sobie radzą ich stworzenia. Po pewnym czasie spostrzegli, że człowiek poczyna sobie nazbyt śmiało. Zdobywa góry, wrywa ziemi jej skarby, powstrzymuje rzeki albo zmienia ich bieg, wycina i pali lasy. Z czasem ludzie posuwali się coraz dalej – doszło do tego, że z zazdrości o ziemię, bogactwa czy władzę zaczęli walczyć między sobą. Zabójstwom i nienawiści nie było końca. Bogom nie podobało się takie działanie. Nakazali Umanowi, żeby powstrzymał swych podopiecznych albo ich zniszczył. Uman jednak ani myślał tego zrobić. Był dumny ze swojego dzieła, podziwiał spryt i pomysłowość ludzi. Kiedy pozostała czwórka bogów próbowała pokazać człowiekowi, gdzie jego miejsce, wszczął bunt, stając przeciw braciom. Rozpętała się wojna bogów, niszcząca dla świata i wszystkich jego stworzeń. Ar, najbardziej miłościwy z całej piątki, rozrzucił bogów po całym wszechświecie, by zapobiec dalszej bezsensownej walce i narastającej nienawiści. Palce jednej dłoni zostały rozerwane. Pozbawiony opiekunów świat podupadał, niszczoney pazernością ludzi. Wykorzystując dary Umana, rozum i przemyślność, tworzyli oni coraz

lepszą, skuteczniejszą broń, by móc zabijać i grabić. – Bajarka westchnęła i umilkła.

– Co było dalej? Dlaczego bogowie nie powstrzymali ludzi? Mogli ich przecież ukarać, zabronić zabijania i niszczenia. Bogowie mogą wszystko, czyż nie? – niecierpliwie dopytywała Caril.

– Tylko Ar o tym myślał. – Mirie podjęła opowieść. – Próbował zwołać swoich braci i pogodzić ich, ale nie usłuchali. Byli zbyt dumni, jak to bogowie. Musiałby stoczyć bitwę z Umanem, a tego nie chciał. Wtedy wymyślił inny sposób. Istnieje przepowiednia, wypowiedziana ponoć przez samego Ara: „Kiedy palce jednej ręki odnajdą się i zacisną w pięść, na ziemi znów zapanuje porządek rzeczy. Szukajcie ich wśród boskich okruchów, które rozsypałem po świecie”.

## Rozdział II

# Palce jednej dłoni

Karawana wędrowców przemierzała pustynię, poganiając jednogarbne wielbłądy do galopu. Alierzczycy nie bali się zapuszczać w jej niezmierzone obszary. Robili to od stuleci. Nie budowali domów, nie zakładali wiosek ani miasteczek, jak to było w zwyczaju innych nacji. Tak po prawdzie, to Aleria mogła poszczycić się tylko jednym wielkim miastem. Hara, stolica państwa, w której niegdyś mieściły się siedziby wezyrów, szejków i wielki pałac szachinszacha, podupadała jednak coraz bardziej. Kraj został podbity i złupiony ponad dwa stulecia temu. Władza jednak pozornie pozostawała w rękach alierskich rodów. Eseńscy królowie imperium w swojej łaskawości pozwalali, by poszczególnymi prowincjami zarządzali szejkowie, zapobiegając w ten sposób rozruchom i buntom. Postępowali tak ze wszystkimi podbitymi krajami i prowincjami. Godzili się nawet na to, by rodzina szacha zamieszkiwała w głównym pałacu, jednak wszelkie najmniejsze próby rebelii były tłumione z największym okrucieństwem. Dlatego większość szejków wołała życie na pustyni z dala od wścibskich oczu i uszu królewskich szpiegów. Miasto niszczało, a ludność biedowała.

– Panie! – krzyknął ktoś jadący z tyłu. – Zatrzymajmy się, mój dromader kuleje, ma okaleczoną nogę.

Sahan jednak nie słuchał, nie było czasu na postój. Poprawił tylko chustę na twarzy i popędził wierzchowca. Pozostali szybko dorównali mu kroku. Maruder musiał poradzić sobie sam. Czwarty dzień z rzędu pędzili na złamanie karku, żeby jak najszybciej opuścić tereny pustynne i dotrzeć do stolicy. W Harze dwóch podopiecznych, których Sahan od osiemnastu lat miał pod swoją kuratelą, powinno otrzymać pomoc konieczną do zrozumienia i kontrolowania daru odziedziczonego po ojcu. Czas naglił.

Chłopcy byli bliźniętami, dziećmi szachinszacha Marada Harima i Laisy Mahadi, siostry Sahana. Po śmierci męża ścigana przez eseńskich żołnierzy szachini uciekła z dziećmi na pustynię. Przemierzyła niemal całą Alierię, by dotrzeć do swojego brata. Towarzyszyło jej tylko czterech wojowników ocalałych z rzezi. Dzieci podróżowały w chustach, na plecach jeźdźców. Maleństwa przyszły na świat ledwie kilka dni wcześniej, a Laisa mimo wyczerpania porodem karmiła je w drodze piersią. Mieli niewiele wody i żywności, więc kiedy w końcu dotarli do szejkanatu Beria, była na skraju wyczerpania. Zaniesiono ją do namiotu, otoczono najlepszą opieką, uzdrowiciele zrobili, co mogli, jednak osłabiona drogą i upływem krwi zmarła w nocy. Przed śmiercią opowiedziała bratu, co zdarzyło się w pałacu. W dniu, w którym bliźnięta przyszły na świat, ich ojca, Marada Harima, zabrali królewscy, prowadząc go rzekomo na spotkanie z samą królową Sylwią, władczynią

Esenii. Szachinszach był człowiekiem ambitnym i porywczym. Nie godził się z rolą eseńskiego figuranta, pragnął władzy prawdziwej i niezależnej od imperium. Marzył o kraju wolnym i bogatym jak niegdyś. Gromadził wokół siebie buntowników, planował zbrojny przewrót. Nie brakowało jednak w Harze imperialnych oczu i uszu, nie brakowało też zdrajców. Wieści dotarły do królowej Sylwii, która wydała wyrok bez śledztwa i procesu. Aresztowano wszystkich buntowników, na czele z Maradem. Kilka dni później głowa szacha została zatknięta na drewnianym drągu przed bramą pałacu. Był silnym magiem, mimo to kilkunastu zakonnych nie dało mu szans się obronić. Wierni słudzy wyprowadzili Laisę i dzieci natychmiast po zniknięciu Marada, a później pomogli im dotrzeć do Sahana. Po śmierci siostry szejk znalazł dla Ahima i Kali mamkę, a także kilka niań. Gdy podrosli, sam przejął nad nimi opiekę. Nie wziął sobie żony ani nie spłodził własnych dzieci, starając się zapewnić siostrzeńcom wszystko, co najlepsze. Postanowił zastąpić im ojca i matkę. Nauczył je arytmetyki, geografii, a przede wszystkim historii własnej ojczyzny, a nałożnice udzielały im lekcji śpiewu i tańca. On szkolił ich w sztuce walki, kobiety zaś w sztuce uwodzenia.

Minęły lata, chłopcy dorośli. Pewnego dnia Sahan przekonał się, że tkwi w nich odziedziczona po ojcu niebezpieczna magia. Właśnie zamierzał zabrać siostrzeńców w podróż, żeby poznali ziemię, z której się wywodzili. Chciał przedstawić ich szejkom i ludowi. W końcu jeden



z nich miał wkrótce zostać władcą. Według starszeństwa powinien to być Ahim, ale Sahan nie podjął jeszcze decyzji. Zastępował im ojca, zatem to on musiał zdecydować. Uważnie obserwował wychowanków, zapisując w pamięci ich wady, zalety, postępy i błędy. Szala na tej wadze przechylała się raz na stronę Ahima, innym razem na stronę Kali.

Plan był taki, aby najpierw odwiedzić najbliższe położone szejkanaty i zwerbować ludzi do osobistej gwardii następców tronu. Królewskim dzieciom nikt nie odmówiłby ochrony czy pomocy, a te oddziały mogły się stać zalążkiem przyszłej armii, której Aleria nigdy nie miała. Po zebraniu większego oddziału Sahan zamierzał ruszyć wzdłuż Prony, jedynej rzeki przecinającej Alerię, do odleglejszych prowincji. Planował sprawdzić, jakie panują nastroje. Chciał wiedzieć, czy szejkowie dbają o przygotowanie i wyszkolenie młodych wojowników, czy myślą o swoim kraju, czy raczej wyłącznie o handlu i pomnażaniu własnych dóbr. Przygotowywał się do tej podróży od wielu tygodni. Stado jednogarbnych wielbłądów czekało nieopodal wraz z trzydziestoosobowym oddziałem ludzi pustyni.

– Wuju, czy będę mógł osiąść wielkiego dromadera?  
– zapytał Ahim.

– To nie ty będziesz na nim jechał – oświadczył Kala, energicznie potrząsając głową.

– Jak to nie? Wuju, ja jestem starszy, większy i silniejszy. Kala mógłby spaść. Sam mówiłeś, że pojedę na nim, kiedy dorosnę. Kala jest głupcem i niedołągą. – Ahim po raz pierwszy w życiu okazał złość i pogardę wobec brata.

Obaj przypominali Sahanowi Laisę. Tak jak ona, mieli wielkie brązowe oczy i niesforne loki, których nijak nie dało się przygładzić. Podobnie jak matka, byli drobnej budowy, o szczupłych twarzach i wystających kościach policzkowych. Różnica polegała tylko na tym, że Kala także charakter miał po matce. Zwykle łagodny, z uśmiechem i rozmarzeniem na twarzy, był zupełnym przeciwieństwem energicznego i zadziornego Ahima, który swój temperament odziedziczył po ojcu, co było widać w ruchach, mowie, a także złości okazywanej z byle powodu, za co wielokrotnie był karany przez Sahana. Musiał doglądać stada kóz albo czyścić zagrody dla wielbłądów. Ale najgorsze było usługiwanie bratu. Kala wcale tego nie chciał, wiedząc, jak upokarzające dla Ahima było bieganie z nareczem ubrań albo dzbankiem wody czy miską owoców. Sahan był jednak nieugięty, gdyż miał nadzieję, że w ten sposób okiełzna porywczą naturę chłopaka. Przy okazji Kala też się czegoś uczył – mianowicie władania. Musiał pokonać nieśmiałość, wydawać rozkazy, stawiać coraz to wymyślniejsze żądania. Jeśli próbował brata oszczędzać, kara Ahima zaczynała się od nowa. Im bardziej Ahim się buntował, tym dłużej trwała nauka pokory. To przynosiło efekty, gdyż chłopak po kilku dniach łagodniał i wszystko wracało do normy, przynajmniej na jakiś czas.

Ta różnica w charakterach chłopców przysparzała opiekunowi trudności z wyborem: Kala był mądry, ale nie dość władczy, Ahima natomiast cechowały inteligencja i pomysłowość, jednak nie lubił się uczyć, za to władzy pragnął zbyt mocno. Sahan miał nadzieję, że kiedy jego podopieczni do-

świadczą prawdziwego życia, zobaczą biedę i ciężką pracę prostych ludzi, a także pojmą, czym jest niewola, obaj dorosną i spoważnieją. Patrzył więc na ich kłótnię o wierzchowca ze spokojem. Nie pierwsza awantura, nie ostatnia.

Ahim, przekonany do swojego prawa wynikającego z racji starszeństwa o całe dwa kwadranse, podszedł do wielbłąda, ściągnął wodze, by zmusić go do przykłęku, i sprawnie usadowił się w siodle, jednak Kala nie ustąpił.

– Złaź! – powiedział władczo, usiłując ściągnąć brata z grzbietu zwierzęcia. Przy całej łagodności chłopcu nie brakowało upor.

– Odejdź! – warknął Ahim.

– Nie pojedziesz na nim. – Kala uparcie szarpał nogę brata. – Ja go dosiędę.

Wtedy Ahim przechylił się, jedną ręką przyciągnął głowę Kali, a drugą ścisnął palcami jego podbródek. Popatrzył mu prosto w oczy. Chłopiec zbladł, zwiotczał i upadł na ziemię. Próbował wstać, ale nie dał rady. Wydawał się oszołomiony, a po jego twarzy spływał pot. Sahan skoczył, w jednej chwili zwłókł Ahima z siodła i natychmiast ukarał, wymierzając mu siarczasty policzek.

– Nigdy więcej tego nie rób. To twój brat, krew z krwi, i nie waż się go krzywdzić w żaden sposób – wysyczał. Był rozwścieczony do tego stopnia, że Ahim naprawdę się przestraszył. Skulił się, wyrwał wujowi i uciekł. Po kilku chwilach jednak wrócił, taszcząc dzbanek wody. Był przerażony tym, co zrobił.

– Kala, nic ci nie jest? – Poklepywał brata po twarzy i spryskiwał wodą. – Przepraszam, wuju, przepraszam, nie

chciałem zrobić mu nic złego, to samo tak jakoś wyszło – mamrotał przerażony. – Wstąpiła we mnie wściekłość i poczułem, że muszę ją z siebie wyrzucić, inaczej mnie rozsadzi. Patrzyłem Kali w oczy i myślałem: „Zgiń, zniknij”. Wtedy usłyszałem głos matki. Krzyczała w mojej głowie, nawoływała, żebym tego nie robił. Oprzytomniałem, dostrzegłem jego twarz i złość natychmiast odeszła, ale było już za późno.

– Nigdy więcej, Ahimie, rozumiesz? Patrz mi w oczy! – rozkazał Sahan. – Nigdy więcej nie rób niczego, po czym musiałbyś powiedzieć „za późno”! Czy mnie dobrze rozumiałeś? – Szejka miał przy tym taką dzikość i obcość w oczach, że chłopak zadygotał ze strachu. Nie mógł wymówić słowa, kiwnął więc tylko głową, co miało znaczyć, że wszystko doskonale rozumiał.

– Pakujmy się, musimy ruszać! – rozkazał szorstko szejka. Ta jedna chwila zmieniła wszystko. Sahan rozumiał, że nadszedł czas na spotkanie chłopców z kapłanami. Musieli wyruszyć do Hary jak najszybciej, żeby mędrcy mogli wyjaśnić synom szejka, jak potężną dysponują siłą.

Wybrał kilkunastu mężczyzn, najsprawniejszych wojowników, jako eskortę. Karawana wyruszyła, jak tylko napełnili juki suszonym mięsem i pszennymi plackami, a bukłaki wodą. Prowadził Sahan, a tuż za nim pędzili obaj chłopcy. Pozostali trzymali się nieco z tyłu, by w razie potrzeby podjąć walkę w obronie dzieci szachinszacha.

Po sześciu dniach niemal nieustannej jazdy, którą tylko wielbłądy zniosły w niezłej formie, wydostali się z pustyni.

Przed południem dotarli do oazy, w której mogli skorzystać ze skromnej kąpieli i nacieszyć się smakiem zimnej, czystej wody, cenniejszej w tych okolicach od złota. Z radością obmyli ciała z potu i kurzu, po czym zasiedli do skromnego posiłku w cieniu nielicznych karłowatych palm. Wreszcie mogli odpocząć i odetchnąć z ulgą, gdyż najgorszą część wędrówki mieli już za sobą. Jeszcze tylko jeden dzień i dotrą do Hary. Wielbłądy zamienili na konie pozostawione przez kupców.

Zamieszkujące w pobliżu oazy plemiona doglądały pozostawionego przez wędrowców dobytku: koni, wielbłądów, czasem też towarów. Dzień i noc mieszkańcy pustyni strzegli studni, by nikt nie zanieczyścił lub nie zatruił wody. Wiedzieli, które zwierzęta wypoczęły na tyle, żeby wyruszyć w ciężką drogę przez pustynię. Karawany kupców całkowicie zdawały się na ich osąd, czasem korzystając z pomocy miejscowych przewodników. Zapłatą były żywność, odzież, leki, błyskotki, a czasem broń przemycana w zwojach tkanin czy beczkach z solonymi rybami.

– Przebierzemy się w kupieckie stroje – zdecydował Sahan. Uznał, że jako kupcy, z dodatkowymi końmi obciążonymi towarem, będą bezpieczni. Handlarze zwykle poruszali się bez przeszkód i mogli wjechać do miasta, nie wzbudzając podejrzeń.

Wyruszyli po południu. Konie były wypoczęte, co pozwoliło dotrzeć do Hary nawet szybciej, niż zakładali. Następnego dnia, gdy słońce sięgało zenitu, zatrzymali się na wzgórzu, w niewielkiej odległości od murów. Mimo lęku przed spotkaniem z kapłanami chłopcy patrzyli jak zahipnotyzowani.

Miasto lśniące bielą piaskowca, złotem wieżyczek i zielenią licznych ogrodów wprawiało w zachwyt. Dopiero z bliska uwidaczniały się postępujący nieład i zniszczenie. Królewscy strażnicy przepuścili ich dość szybko, pobieżnie przeglądając juki z towarami. Stateczny, dobrze ubrany, zadbany kupiec wzbudzał zaufanie. Chłopców przedstawił jako swoich synów przyuczających się do zawodu. Pozostali towarzysze stanowili grupę drobnych handlarzy oraz najemnych strażników, zatrudnionych do ochrony ludzi i towarów. Nie musieli specjalnie odgrywać swoich ról, gdyż niemal każdy Alier na co dzień trudnił się handlem, a sprawne posługiwanie się bronią też nie było temu ludowi obce.

Sahan i jego towarzysze przemierzali ulice miasta, z obrzydzeniem patrząc na sterty śmieci, tabuny szczurów, zapchane kanały i kruszejące mury domów. Pamiętali Harę z lepszych czasów.

Chłopcy byli podekscytowani, ale też mocno wystraszeni. Zamiast podziwiać miasto, które widzieli po raz pierwszy w życiu, spoglądali na siebie nawzajem, po czym szybko opuszczali głowy, by ukryć niepokój. Nawet wszechobecny brud panujący na ulicach nie wzbudzał ich zainteresowania. Zazwyczaj rozgadany Ahim tym razem milczał. Wiercił się w siodle, jakby go parzyło. Od czasu do czasu pochrząkiwał z irytacją.

– Wuju, jak to będzie? Co z nami będzie? – Kala nie wytrzymał i jednym tchem wyrzucił z siebie nurtujące go pytania.

– Nie mam pojęcia – odparł Sahan. Nie rozumiem magii, a nawet mogę ci się przyznać, że czuję przed nią

lęk. Jedynie wasz ojciec mógłby was na to przygotować. Gdyby żył – dodał. Było mu żal przybranych synów, ale nie potrafił im pomóc. Przez ten etap musieli przejść sami.

Kilku kapłanów zajmowało dom wezyra. Wiedział o tym od zaprzyjaźnionego złotnika, Esena, który od czasu do czasu bywał w prowincji Beria ze swoimi wyrobami, a czasem nawet gościł w jego domu. Szejk liczył na to, że kapłani będą wiedzieli, co robić. Marad wspominał kiedyś, że to właśnie oni prowadzili jego ceremonię. Nigdy nie opowiedział, jak wyglądał jej przebieg.

Zsiedli z koni na rozległym dziedzińcu siedziby wezyra. Pałac, podobnie jak całe miasto, ubożał. Całą rodzinę wymordowano po śmierci szacha za „jatrzenie i podżeganie do buntu”. Taki wyrok odczytano, wieszając publicznie wezyra Karima, jego żonę Asanę i czwórkę ich dzieci, z których najmłodsza, Tija, miała zaledwie trzy latka. Moźni Esenowie z daleka omijali pałac, od kiedy zaczęły krążyć plotki, że nawiedzają go duchy pomordowanych. Największy lęk budziły pogłoski o dzieciach błakających się po komnatach i ogrodzie.

Większość krewnych wezyra uciekła z miasta na prowincję albo ukrywała się w kupieckich domach. Pałac powierzyli nielicznej grupce kapłanów, którzy ocalili po powstaniu wywołanym przez szacha Marada, a po jego śmierci kontynuowanym przez Karima. Ich świątynia została obrócona w perzynę, a duchownych wyrokiem królowej stracono za udział w buncie. Niewielu przeżyło. Początkowo ukrywali się w piwnicach lub pracowniach rzemieślników, kiedy jednak sprawy przycichły, wrócili

i zamieszkali w pałacu w charakterze służących. Spokój zapewniały im skrzętnie podsycane wieści o duchach.

Zanim Sahan dotknął kołatki, drzwi otworzyły się na oścież, a stojący w nich człowiek gestem zaprosił gości do środka. Był wysoki i chudy. Rzadkie włosy zaczesane do tyłu odsłaniały wysokie czoło i mądre, współczujące oczy.

– Witam was, szlachetni. Oczekiwałem waszego przybycia – powitał ich dość oficjalnie, pochylając głowę w ukłonie przed Sahanem i chłopcami.

– Nie zapowiadaliśmy swojej wizyty. – Szejk skinieniem głowy odpowiedział na powitanie. Próbował nie pokazać po sobie zdziwienia.

– To dłuższa historia. Wiem, panie, kim jesteście. To wielki zaszczyt poznać szwagra i dzieci szachinszacha Marada. – Kapłan ponownie złożył przed nimi niski, pełen szacunku pokłon. – O waszym przyjeździe uprzedziła mnie wizja, ale o tym później. Teraz czekają na nas ważniejsze sprawy, rzekłbym, nagłące. Pozwolisz, szejku?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do bliźniaków.

– Książęta, proszę za mną! – zwrócił się do nich uprzejmie, ale dość stanowczo, po czym odwrócił się i ruszył długim korytarzem. Od tego momentu nie obejrzał się ani razu. Ahim spojrział na Sahana z niemym błaganiem: „Ratuj!”, za to Kala posłusznie poszedł za kapłanem. Na jego twarzy był spokój, a nawet... ledwie zauważalny tryumf.

– Ależ... – wyrwało się z ust Sahana. Zamilkł jednak, rzucając przelotne spojrzenie Ahimowi, jakby chciał mu rzec: „Musisz, synu”. Po to przybyli do stolicy mimo zagrożeń, które mogli napotkać.



Opuścił głowę, żeby nie pokazać targających nim emocji. Czuł, że wraz z tą chwilą jego mali chłopcy, synkowie, stawali się mężczyznami, a przez magię całkowicie tracili dziecięcą niewinność. Czuł ból i dumę zarazem. To był niezwykle moment. Wraz z nim nadeszło zrozumienie, co znaczy być ojcem, którego dzieci wkrótce opuszczą dom. Najgorsza była świadomość, że od tej chwili nie będzie mógł ich chronić, jak dotąd.

Ahim uśmiechnął się, jakby chciał pocieszyć Sahana, choć sam potrzebował wsparcia. Zrezygnowany ruszył w ślad za bratem. Gruby dywan pokrywający podłogę całkowicie tłumiał dźwięki. Odchodzili w ciszy, jak duchy. Wkrótce cała trójka zniknęła za zakrętem, pozostawiając zdumionych mężczyzn w wielkiej sali. Mimo złocień, ozdobnych tkanin i wytwornych mebli widać w niej było ślady postępującego zubożenia. Jedwab na poduszkach i otomanach wyblakł ze starości, a czarki, w których podano herbatę, miały wyszczerbienia i rysy. W czasach świetności uchodziłyby to za obrazę dla gości.

Chłopców poprowadzono korytarzami, a później schodami w dół. Znaleźli się w dużej, wysokiej na kilka metrów rotundzie z małymi oknami. Panowały tam półmrok i chłód, ale bracia zdołali dostrzec kilku kapłanów w długich białych galabijach. Nikt nie odzywał się ani jednym słowem.

Położyli ich na podłodze pośrodku pięcioramiennej złotej gwiazdy, głowami do siebie. Jeden z kapłanów pochylił się i kładąc lewą dłoń na czole Ahima, a prawą na głowie Kali, zaczął wymawiać głośno i wyraźnie słowa w jakimś nieznanym, dziwnym języku. W pomieszczeniu

zapanował nieprzenikniony mrok. Słowa płynęły nieprzerwanie, wypowiedane zgodnym chórem przez wszystkich obecnych. Gwiazda pod plecami chłopców rozżarzała się powoli słabym, z czasem narastającym światłem, aż w końcu promienie wystrzeliły czerwienią, przenikając przez ich ciała. Obaj mieli świadomość wszystkiego, co się działo, jednak byli jak sparaliżowani, niezdolni do żadnego ruchu. W promieniach ukazała się olbrzymia bezpalca dłoń, do której zbliżały się jakieś postacie. Synowie szachinszacha nie potrafili rozpoznać żadnej z nich. Dwie wydawały się niemal identyczne, trzy pozostałe zaś różniły się właściwie wszystkim. Migoczące wstęgi myśli i poszarpane obrazy przebiegały pomiędzy nimi tak szybko, że nie sposób było ich dostrzec ani zapamiętać. Postacie płynęły w powietrzu, powoli dobijając do otwartej dłoni jak do przystani. Gdy połączyły się z nią w jedno, ich ludzkie powłoki zaczęły zanikać, przeobrażając się w idealnie pasujące palce. Wtedy potężna dłoń rozprostowała się gwałtownie, chwilę trwała w tryumfalnym geście, a potem równie gwałtownie zacisnęła się w pięść. Na króciutki moment rozgorzała czerwienią, po czym zamigotała i zniknęła. Światło bijące od podłogi zgasło, a w pomieszczeniu znów zapanował półmrok.

– Wstańcie! – usłyszeli kategoryczne polecenie. – Wszystko, co ujrzeliście, dotyczy waszej przyszłości i zostanie spełnione. Co ta przepowiednia oznacza, musicie zrozumieć sami. – Kapłan mówił dostojnym, pozbawionym emocji głosem, jakby recytował wyuczoną lekcję. – Otrzymaliście moc, która już się ujawniła, ale korzystajcie

z niej ostrożnie i tylko wtedy, kiedy będzie to konieczne. – Jego ton wyraźnie złagodniał, co znaczyło, że oficjalna część uroczystości dobiegła końca. – Zdobyć pełnej kontroli przyjdzie z czasem. Podczas inicjacji zapewniliśmy wam ten czas, blokując możliwość użycia pełnej siły. Blokada powoli będzie zanikać. Nie odpowiem na pytania o istotę mocy, gdyż jej nie znam. Mężczyźni z waszego rodu potrafili kontrolować umysły, poddawać je swojej woli, napełniać smutkiem i radością. Niektórzy władali żywiołami. Jedni byli silni, inni słabi. Nie wszyscy wykorzystywali moc w słusznej sprawie. Bywali tacy, którzy stawali się tyranami. Kapłani żywią nadzieję, że wasza matka nie na darmo zapłaciła najwyższą cenę, a wy ten dług spłaciecie.

Drugi z kapłanów, znacznie młodszy od prowadzącego ceremonię, dodał:

– Staliście się mężczyznami. Od tej chwili postępujcie rozważnie, jak na mężczyzn przystało. Magia może wam pomóc, ale może też was zniszczyć.

Podszedł, by uścisnąć dłonie książąt. Na jego twarzy pojawił się ciepły, serdeczny uśmiech. Pozostali uczestniczący w ceremonii kapłani również gratulowali młodym magom. Starsi poważyli się nawet na poufały uścisk. Mimo to bracia wciąż stali jak posągi i tylko drzenie ich ciał świadczyło o tym, że są żywymi istotami. Gdy wreszcie wrócili na górę, do komnaty, w której czekali Sahan i reszta oddziału, wciąż zdawali się oszołomieni. Opiekun niecierpliwie ruszył w ich kierunku.

– Pokażcie się. – Obrzucił ich badawczym spojrzeniem. – Macie takie poważne miny, jakby kapłani cały

świat położyli na waszych barkach. – Roześmiał się, poklepując podopiecznych, a gdy przyciągnął ich do siebie i przytulił mocno i serdecznie, jak na ojca przystało, strach i emocje zaczęły ustępować miejsca dumie. Jeszcze nie całkiem doszli do siebie, ale byli znacznie spokojniejsi. Gratulacje od alierskich wojowników przyjmowali z wyraźną satysfakcją.

Kapłan podszedł do Sahana, wziął go pod ramię i odprowadził na bok.

– Jestem ci winien kilka wyjaśnień, szejku – rzekł z powagą. – Nie mogliśmy czekać, gdyż tak nakazano w snach, nie tylko moich, ale też kilku innych kapłanów. Inicjację musieliśmy przeprowadzić niezwłocznie. – Popatrzył w jego oczy z niemą prośbą o zrozumienie, a Sahan potaknął na zgodę. – Teraz o samej ceremonii – ciągnął kapłan. – W jej trakcie ujawniła się wizja, którą nie do końca rozumiemy. Taka sama nawiedziła mnie jakiś czas temu: zaciśnięta pięść, której częścią jest pięć postaci zamiast palców. To coś oznacza jakąś misję dla wybranych, a być może zemstę. Nie wiem, czy wśród tej piątki znaleźli się twoi podopieczni, ale wszyscy kapłani, w tym ja, sądzą, że tak. Strzeż ich jak oka w głowie, gdyż pewnego dnia mogą okazać się ważni. Bardzo ważni. – Kapłan westchnął, posyłając Sahanowi długie, przenikliwe spojrzenie. – Niestety mam też złą wiadomość. To właściwie tylko przecucie, ale nie lekceważyłbym go. Rzadko się myślę – dodał z powagą. – Może lepiej nie wracajcie na pustynię.

– Dokąd powinniśmy się udać? – zapytał z niepokojem Sahan. – Może kilku z was dołączyłoby do nas? Każda

rada i pomoc będzie teraz cenna. Wasza magiczna siła zwiększyłaby nasze szanse. A może się mylę?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć, dokąd wyruszyacie, ostrzegam jednak: dobrze się nad tym zastanów, zanim zdecydujesz. Nie dołączymy, gdyż nasze towarzystwo tylko by was spowalniało. Żadni z nas wojownicy, a moc ma zupełnie inny charakter, niż myślisz. Właściwie w ogóle jej nie mamy. Miewamy sny i wizje, ale niczego nie możemy zmieniać, tworzyć, a tym bardziej niszczyć. Większość z nas to starcy. Po co ci takie obciążenie?

– Co zatem radzisz? – dopytywał szejka.

– W mieście stacjonują eseńskie oddziały. Jest też spora grupa zakonnych magów, a ci są najgroźniejsi. Od jakiegoś czasu nic złego się nie działo, mimo to najlepiej trzymać się od nich z daleka, gdyż magię książąt wyczują z całą pewnością. Dużo czasu upłynie, nim twoi synowie nauczą się ją ukrywać. Teraz radzę kolację i odpoczynek. Moim zdaniem powinniście wyruszyć jeszcze przed brzaskiem. Nocna straż będzie mniej czujna.

Tak jak radził kapłan, następnego ranka, tuż przed świtem, wyjechali z miasta północną bramą, kierując konie w stronę Sylii. Sahan pomyślał, że tam będzie najbezpieczniej. Znał Sylów, to byli twardzi, dzielni ludzie, i choć ich krainę również zagarnęło imperium, to w wysokie partie gór królewscy raczej się nie zapuszczali.

Szejkowi zależało na tym, żeby wszyscy zachowywali się naturalnie, spokojnie, jak przystało na statecznych kupców, toteż po opuszczeniu miasta puścili konie lekkim

klusem wzdłuż muru. Przodem jechało trzech wojowników, dalej obaj chłopcy pod czujnym okiem opiekuna. Pozostali zamykali karawanę. Wciąż jeszcze trwała noc, jednak księżyc oświetlał całą okolicę.

*Widać nas jak na dłoni* – pomyślał Sahan z niepokojem. Zerknął na mury, ale tam panował zupełny spokój. Szejk miał nadzieję, że większość strażników drzemie pod blankami, jednak ani na moment nie tracił czujności. Przestroga kapłana utkwiała mu w głowie i nie dawała spokoju. Oddalali się od murów, co z każdym krokiem zwiększało ich szanse.

– Wuju, Hara w świetle księżyca wygląda tajemniczo... i groźnie, prawda? – Ahim z zadartą głową gapił się na miasto. Po ceremonii powrócił w nim zawadiaka, jeszcze bardziej zadufany w sobie niż wcześniej. Non-szalancko siedział w siodle, niemal nie trzymając wodzy. Na szczęście kupieckie konie potrafiły trzymać szyk nawet wtedy, gdy jeździec spał.

– Chwyć porządnie wodze! – rozkazał Sahan.

– Ten koń jest tak mądry, że i w galopie...

– Powiedziałem, żebyś chwycił wodze – przerwał mu szejk. – Usiądź równo w siodle, buty w strzemiona i przestań się gapić byle gdzie!

– Ależ, wuju, nie traktuj m... – urwał w pół słowa, wciąż patrząc w stronę miasta.

Z murów nadlatywały ze świstem strzały. Jak w koszmarnym śnie Sahan widział moment, gdy jedna z nich utkwiała w szyi Ahima. Chłopiec spojrział w stronę Kali, a potem zsunął się z siodła i upadł na ziemię, nie wydając

nawet jęku. W jego oczach nie było strachu ani bólu, jedynie bezgraniczne zdumienie. Z rany na szyi popłynęła krew. Sahan słyszał krzyki, jednak kompletnie nie zwracał na nie uwagi. Zeskoczył z konia, chwycił chłopca, naprędce owiązał ranę chustą, po czym ostrożnie złamał wystający promień strzały.

– Pomóżcie mi! – krzyknął, próbując podnieść bezwładne ciało Ahima.

Gdy dwóch wojowników dołączyło, wspólnymi siłami usadzili chłopca w siodle Sahana. On sam wciągnął się na koński grzbiet za plecami rannego, objął go w pół jedną ręką, a w drugą zebrał wodze. Wszystko trwało ledwie moment, a wydawało się, jakby minęły wieki. Stojący na murach strzelcy szyli z łuków bez ustanku, jednak strzały odbijały się od jakiejś niewidzialnej osłony. Sahan spojrział na Kalę. Jego twarz była spięta, blada i spocona, oczy wybałuszone, a na szyi rysowały się grube, nabrzmiące z wysiłku żyły. Robił coś, co chroniło karawanę, wkładając w to wszystkie siły.

– Synu, uciekaj! – wrzasnęła szejka.

Wyrwany z letargu chłopak zadygotał z przerażenia, jednak usłuchał rozkazu, mocno chwycił wodze i ruszył galopem. Pozostali popędzili za nim. Gardła ścisnęło niedowierzanie, głowy pękały od natłoku myśli, ale nie było czasu na rozpamiętywanie. Tylko zaciśnięte usta przyrzekały wyrównanie krzywd. Rachunki trzeba płacić. Ci, którzy dokonali zamachu na młode życie następcy tronu, muszą zapłacić i zapłacą setkami, tysiącami żyć.

Dwóch strażników zajęło się Honem. Zdjęli mu kajdany tylko po to, by zamienić je na jeszcze gorsze, zamocowane łańcuchami w kamiennych ścianach. Mirie patrzyła na swoje upodłone dziecko zwisające na rozciągniętych do granic możliwości ramionach, na grubą obręcz pętającą nogi i opuszczoną bezwładnie głowę. W niemal białej twarzy i przyblakłych oczach tliło się życie, było jednak kruche jak płomyk świecy. Wystarczyło go lekko zdmuchnąć. Wtedy podjęła decyzję. Powoli obróciła głowę w kierunku Anvila Edmura III. Patrząc mu bezczelnie w oczy, uwolniła całą nagromadzoną siłę. Po chwili poczuła jeszcze jeden strumień, słabiutki. Zmierzał wprost do niej, więc przyjęła go z wdzięcznością i zaczęła wplatać w swój niczym wstążkę. Tego, co powstawało z połączenia, nie sposób było powstrzymać. Dostrzegła strach w oczach klechów, uśmiechnęła się do syna i cisnęła mocą we wszystkie strony. Powietrze zgęstniało, utrudniając oddychanie, a rosnąca temperatura wywiała pot z każdego skrawka skóry. Czas zwolnił. Mirie już tylko czekała, patrzyła spokojnie, jak odbite od ścian strumienie zagarniają wszystko na swojej drodze. Przed jej oczami przewijał się powolny obraz zagłady. Jeszcze raz spojrzała w oczy Hona. Później przestała widzieć i słyszeć. Świat wokół zapadł się w nicość.



Pięść

Copyright © Bożena Walewska

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-369-1

epub ISBN 978-83-7995-370-7

mobi ISBN 978-83-7995-371-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Marta Kładź-Kocot

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Projekt i adiacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Agnieszka Zawadka

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)



NOC KOTA, DZIEŃ SOWY:  
ZAMEK CIENI  
MARTA KŁADŹ-KOCOT

W Castelburgu, bogatym portowym mieście, władzę przejmuje makiaweliczny Książę, a wygnani arystokraci zakładają Bractwo i z pomocą niejakiego Dionisiusa Grandiniego próbują obalić tyrana. W Emain Avallach, siedzibie magów, niepozorny bibliotekarz zostaje skazany na śmierć, a para kochanków wygnana. W odległym...

Zatrzymajmy się przy parze kochanków. Opowieści o wielkiej miłości mają zawsze wyjątkową moc. Wiedzą o tym Prządki, więc kiedy na ich oczach rodzi się taka opowieść, uważnie ją obserwują. Siądźmy więc cicho i patrzmy, jak splecą historię Mitrii i Jardala, dwojga czarodziejów, którzy pokochali się, łamiąc tym samym prastare prawo. Udajmy się z nimi w podróż w poszukiwaniu siebie samych i siebie nawzajem.

Wytyście słuch! Nocą usłyszycie stąpanie miękkich kocich łap, a w dzień prawie bezszelestne bicie sowych skrzydeł.

*Najpierw pomyślałam, że to historia o miłości, a pomysł na główny wątek jest czarujący i niebanalny. Potem doszłam do wniosku, że to jednak będzie opowieść o magii i politycznej intrydze. Następnie wpadło mi do głowy, że wszystkie drogi prowadzą do pewnego miasta i będzie to historia jego przemian. Jeszcze później dotarło do mnie, że i miasto, i bohaterowie dążą do wolności. Ta powieść ma wiele poziomów, wiele znaczeń i wciąż się zmienia, wciąga i fascynuje. Z każdą odwróconą stroną zapadałam się w nią bardziej, ciekawa, czym jeszcze mnie zaskoczy. - Marta Krajewska, trzykrotnie nominowana do nagrody im. J.A. Zajdla autorka Idź i czekaj mrozów, Zaszij oczy wilkom i Noc między Tam i Tu*





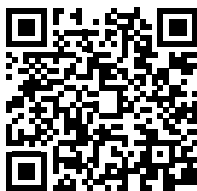
## IDŹ I CZEKAJ MROZÓW MARTA KRAJEWSKA

W świecie, gdzie puszcza włada leśny, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmyły i strzygonie, młodzieńka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

*Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem opłatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka. – Paweł Majka, autor Pokoju światów i Wojen Przestrzeni, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego*

PIERWSZY TOM OPowieści z Wilczej Doliny  
NOMINOWANY DO NAGRODY ZAJDLA





## WYSPA MGIEŁ MARIA ZDYBSKA

Czasami dwie dusze łączy więź silniejsza niż śmierć.

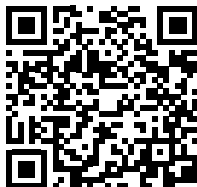
Ona – przybrana córka pirata, uratowana z morskiej kipieli. W jej przeszłości ukryty jest klucz do potężnej mocy, która może przynieść wybawienie lub zgubę.

On – potężny mag, wyrzutek, arogant i sybaryta. Od lat poszukuje, choć sam nie wie, czego i dlaczego.

Kiedy jednak ich drogi się spotykają, przejmują nad nimi kontrolę siły potężniejsze od nich samych. Bogowie i demony, nieumarli i czarnoksiężnicy, zapomniana magia i stracone życia – droga do ich poznania zaczyna się na tajemniczej Wyspie Mgieł.

*“Wyspa Mgieł” to powieść young-adult fantasy prześląknięta zapachem morza, pełna przygód, barwnych opisów i fantastycznych istot. Poznaj losy wyrzuconej przez morze Lirr i daj się oczarować tajemniczemu magowi o imieniu Raiden. – Melissa Darwood, autorka Pryncypium, Larista i Luonto*

PIERWSZY TOM SERII KRUCZE SERCE





DRZEWO WSPOMNIĘĆ  
MAGDALENA LEWANDOWSKA  
MAŁGORZATA LEWANDOWSKA

Źle się dzieje w Daborze. Pozbawione przywództwa Witii i nękane atakami potężnego cesarstwa Hemaru państwo chyli się ku upadkowi. Okradany przez urzędników skarbiec świeci pustkami. Po wielu latach wojny brakuje wiary w to, że nierówna walka z cesarstwem ma jakikolwiek sens.

W desperackiej próbie ocalenia Daboru na nową przywódczynię wybrana zostaje Saja – dwunastoletnia wnuczka ostatniej Witii. Z pomocą woja Mira, wilka Skry, zielarek, sieci daborskich agentek i wtrącających się we wszystko duchów przodków młoda Witia musi wypełnić swoją pierwszą misję – zatrzymać nieuchronną inwazję Żeglarzy z wysp Trogen, bezwzględnych piratów sprzymierzonych z cesarstwem.

Pełna słowiańskiej magii opowieść o dojrzywaniu i kształtowaniu charakteru, o mocy, jaką niesie wierność tradycji.

PIERWSZY TOM CYKLU WITIA





## ZAKLĘCIE NA WIATR PAULINA KUZAWIŃSKA

Gwinto Gerk to wilk morski, który zbiegł z rodzinnego miasta lata temu. Kiedy nagle powraca do domu, wszyscy przeczuwają kłopoty. Tylko Arion widzi w wujku bohatera, a w jego opowieściach spełnienie marzeń.

Kiedy Gwinto wyrusza w dalszą podróż, pozostawia szkatułę pełną drogocennych kryształów i tajemniczą księgę oprawioną w skórę morskiego węża. Jego tropem rusza mag o srebrnych oczach, który nie cofnie

się przed niczym, aby go dopaść...

Jaką tajemnicę skrywa morze? Co łączy królewskiego maga i zwykłego żeglarsza? Czy zemsta warta jest każdej ceny? Arion wyrusza wbrew swej woli w podróż na kraniec świata, gdzie ma nadzieję znaleźć odpowiedzi na te pytania.

